

KONIKI

Musiałem pojechać do N. w sprawie rodzinnej. Dostałem stamtąd list napisany nieortograficznie, ręką widocznie nie nawykłą do pióra: jakiś nieznany pocztowiec donosił mi, że prochy mojego dziadka, powstańca z 63 roku, zostały usunięte z reprezentacyjnego grobowca przez dyrektora państwowej stadniny, który na ich miejscu pochował swoją sekretarkę, o której wszyscy wiedzieli, że była jego kochanką. Autor listu nie podpisał się, dając do zrozumienia, że i tak się naraża, informując mnie o fakcie. Uzyskawszy dwa dni urlopu, przybyłem do N. Było to miasteczko, którego nigdy przedtem nie widziałem. Po wyjściu ze stacji odszukałem od razu dom miejscowego grabarza. Nie zastałem go jednak, gdyż, jak powiedziała mi jego żona, poszedł właśnie do kuźni podkuć konia. Postanowiłem poczekać i usiadłem na ławce pod murem cmentarnym. Wreszcie grabarz pojawił się na ścieżce. Był to ogromny, ponury chłop, prowadzący za uzdę konia, a właściwie małego, pięknego kucyka o lśniącej sierści, brzęczącego nowymi podkowami o tu i ówdzie napotkane kamienie. Dowiedziawszy się, z czym przyjechałem, grabarz spochmurniał jeszcze bardziej, rzucił na mnie złe spojrzenie i oświadczył, że o niczym takim nie wie. Potem odwrócił się do mnie plecami i zniknął za bramą cmentarną.

Wobec tego udałem się do Miejskiej Rady Narodowej. Przed budynkiem stał, przywiązany do słupka, malutki konik. Zostałem przyjęty przez przewodniczącego. Powiedziałem, o co chodzi. W odpowiedzi zaczął się wykrętnie tłumaczyć nawałem innych spraw, a kiedy nie ustępowałem, zaczerpnął z innej beczki:

— Nie wiem, czy wam wiadomo, że i tak mieliśmy uchwałą Miejskiej Rady, na miejscu waszego dziadka pochować specjalnie sprowadzone zwłoki nieznanego żołnierza.

I popatrzył mi badawczo w oczy.

Wzburzony opuściłem Miejską Radę i pobiegłem wprost do Rady Powiatowej. Przewodniczący był energicznym, młodym człowiekiem o jasnym spojrzeniu. Kiedy opowiedziałem mu o przebiegu poprzedniej wizyty, sam się oburzył:

— Tak. Wiele jest jeszcze niedociągnięć w niższych instancjach. Tak. Wasz dziadek? Tak, coś niecoś słyszeliśmy o tej sprawie. Tak, postaramy się ją wyjaśnić. Ale...

— ...Ale?

— Ale to musi potrwać, tak potrwać...

W tej chwili spoza drzwi, prowadzących z gabinetu do następnego pomieszczenia, rozległo się donośne, dziarskie rżenie — rżenie, jakie wydaje tylko mały konik p o n y, zwany powszechnie kucykiem.

Oczy przewodniczącego zatańczyły niespokojnie. Serce ścisnął mi lodowaty chłód przeczucia. Odwróciłem się i wybiegłem.

Grabarz z kucykiem, kucyk przed Miejską Radą, to rżenie w Powiatowej Radzie. Te kucyki zaczęły mi się kojarzyć z oporem, na jaki napotykałem wszędzie, gdzie chciałem wyjaśnić sprawę prochów mojego dziadka — rotmistrza. Musiał istnieć jakiś związek między łamaniem praworządności a rasą tych małych koni. Szedłem ze spuszczoną głową w stronę Komitetu Frontu. Ale doszedłszy na miejsce, stanąłem jak wryty. Przed bramą stała bryczka zaprzęzona w dwa piękne, rasowe kucyki. Odwróciłem się i powoli ruszyłem z powrotem.

Przesadziwszy mur, znalazłem na grządkach prezesa Samopomocy Chłopskiej wyraźne ślady małych kopytek. Prezes Związku Bojowników i kierownik „Delikatesów” też od jakiegoś czasu mieli kucyki. Ale co z tego? Pokonany opuszczałem N. Przed stacją legitymował mnie milicjant. Milicjant był na kucyku.

Dopiero w jakiś czas potem wpadła mi w ręce gazeta z notatką: „Dyrektor państwowej stadniny w N. został karnie przeniesiony na inne stanowisko do D. za trwonienie majątku państwowego. Wysłanych na miejsce kontrolerów społecznych usiłował przekupić, ofiarując im po kucyku”.

Potem otrzymałem wiadomość, że zamieszkująca w D. w domu starców moja babka, weteranka ruchu emancypantek, została brutalnie usunięta przez dyrektora stadniny, który na jej miejscu ulokował swoją babkę, była nierządnicę z Klondike. Pojechałem do D. Bramę domu starców otworzył mi dozorca — karzeł. Za uzdę trzymał ogromnego perszerona.

Odwróciłem się bez słowa i odjechałem.